

Biblioteka
UMK
Toruń

343478

MIECZYŚŁAW LIMANOWSKI

**List otwarty
do sądu partyjnego**

zwołanego w Krakowie
w sprawie

Stanisława Brzozowskiego

Kraków - 1909

Nakładem Autora. — Z Drukarni Narodowej w Krakowie.



343478

4le.

List otwarty do sądu partyjnego
zwołanego w Krakowie
w sprawie Stanisława Brzozowskiego.

Pozwolą Panowie, że już nie w waszej dusznej sali, ale na świeższym powietrzu i przed szerszym forum, wypowiem dziś słowa, do których mam prawo, po pierwsze, jako człowiek, który poznał i zżył się ze Stanisławem Brzozowskim w Zakopanem, na wiosnę roku 1905, zatem w czasie, w którym tenże na zasadzie oskarżenia byłego członka ochrony Bakaja miał stać na usługach tejże ochrony, a po drugie, jako człowiek, co od początku pogłosek głuchych, które doprowadziły wreszcie do zwołania waszego sądu, posiadał pewność — nie wiarę — że straszliwe oskarżenie głoszone przez waszą prasę nosi w sobie albo grubą, bezmyślny nonsens, albo potworną mistyfikację.

Monstrualną też stworzono sobie nawet koncepcję na tle oskarżenia waszej prasy, to jest taką, która głosi, że może być człowiek formułujący nowe prawdy, podnoszący ludzi na wyższe szczeble duchowe, budzący dokoła sumienia a równocześnie mogący być członkiem warszawskiej ochrony.

Postanowiliście nawet — jak niektórzy głoszą — dowieść możliwości takiego faktu.

Monstrualna zaś koncepcja, godząca czystość i brud

w jednej osobie, jak zjadliwy i gryzący war czepia się niekrytycznych dusz ludzkich, opóźnia je w rozwoju, wpędza w korytarze bezmyślności moralnej.

W jednym i tym samym człowieku — głoszą — może być wysoka etyka w pismach, myślach i czuciach a równocześnie w życiu tej samej osoby dominować mogą instynkty prowokatora i szpiega.

Z jednej strony, szukanie światła, spalanie się w poszukiwaniu prawd, któreby godziły Polskę z ludzkością i jej pochodem, z drugiej czajenie się destrukcyjnego żywiołu, który własną robotę rozkąsa z grymasem, bezmyślnego zwierzęcia.

Niby z Dostojewskiego ma taki bezsens pochodzić. Rzucono go dziś w Polsce na targ, nie odczuwając nawet niesmaku z objadania się podobnym preparatem.

Zrozumią Panowie zatem, że wobec głoszonych doktryn, mających za cel — może nieświadomie nawet — zagłuszyć już z góry rozdzźwięk, jaki panuje między twórczością i działalnością Brzozowskiego a zarzucaną jemu zbrodnią, zmuszony jestem dotknąć elementarnych kilku zasad świata tego.

Kiedy na sali sądu w Krakowie, zacząłem dowodzić, że oskarżenie Brzozowskiego z punktu moralnego jest nonsensem, przewodniczący, którego zresztą prawemu prowadzeniu obrad muszę z całym naciskiem oddać najwyższy wyraz sprawiedliwości, — po pewnym może nawet wewnętrznym wahaniu — odebrał mi głos. Argumenty moje wydały mu się z rzędu tych, którymi sąd nie może się zajmować.

Gdybym był przemycał chyłkiem treść słów, roztopioną w masie drobnych szczegółów, dozwolono mi mówić. Ale z wnętrza duszy krzyknąć nie wolno było.

Kiedyś wolna Polska takich więzów nie znała.

Rycerskość i bezpośredniość reagowania z otwartą przyłbicą należała do normy, a handlarska miara przemycania jakiegokolwiek bądź zresztą towaru uważana była za karygodną.

Kiedyś w obecności króla i senatu i całej izby poselskiej, w sprawie inkwizycyi podnoszonej przez Zebrzydowskiego, na słowa tegoż biskupa: „więc czemu mam być, jeśli nie sędzią nad herezyą, pachołkiem prawa czy biskupem“, odkrzyknął Tarnowski: „Tobie przystoi być raczej pachołkiem prawa niż mnie Twoim sługą“. Ale to była dawna, niepodległa Polska.

Dziś na sądzie w Krakowie, na którym staje jako oskarżony jeden z pierwszorzędných pracowników na obszarze twórczej myśli polskiej, zatem człowiek należący do szczytów społeczeństwa i to oskarżony o najpotworniejszą zbrodnię, jaką zna Polska, nie wolno bezwzględnie i kategorycznie zaprotestować przeciw straszliwemu oskarżeniu. Nie wolno zbijać całego nonsensu i rozwalać jego potwornie kruchych nóg.

O sądzie partyjny w Krakowie!

Argumenty moralnej natury skodyfikowałeś — nie wysłuchawszy ich nawet — jako przynależne do szufladki: „Imponderabilia“.

Postaram się zatem przypomnieć Panom, że argumenty moralnej natury nie należą bynajmniej tylko do sfery subiektywnych uczuć jednostki, lecz kryją w sobie momenty tak żelazne i konsekwentne, jak owe, które przynależą do sfery argumentów natury materialnej, które Panowie jedynie skłonni są za ważne uznawać.

Argumentami ze świata praw moralnych, Panowie, można

również węzły gordyjskie rozcinać! Więcej, śmiem twierdzić nawet, że takie argumenty stoją ponad grubymi dowodami, których Wy się jedynie domagacie.

Apostoł Tomasz miał grube zmysły i dlatego potrzebował rany Chrystusowej dotknąć. Ale byli tacy, którzy tego czynić nie potrzebowali.

Postaram się mówić elementarnie. To zaś, co powiem, nie jest wcale nowe. O tem ludzkość od swego początku wiedziała, i jako prawdy prastare, już samem trwaniem nieskazitelne, raz wraz wypowiedała.

Smutno tylko przypominać elementy, które ludzkość zdobywała w swym pochodzie nieustraszonym i to przypominać w czasach, kiedy dostęp do źródeł odwiecznych prawd, łatwiejszym stał się niż kiedykolwiek. Ale tylko niestety od strony materyjalnej.

Tak Panowie! Od zamierzchłej przeszłości rozumiano, że w świecie naszym obok praw rządzących materią, są także prawa moralne, to jest takie, które stanowią kosmikę duszy, to jest rządzą misternym kompleksem zjawisk psychicznych, który składa się na człowiecze „ja“, tak pojedyncze lub zbiorowe.

I rozumiano, że te prawa są niemniej prawdziwe i realne od fizycznych. Niemniej żelazne i w swych skutkach konsekwentne.

Ludzie „żywi“, to jest ludzie usiłujący wnieść głębszą treść w swe życie własne oraz życie otaczające, ludzie buntujący się przeciw odgrywaniu na świecie roli bezmyślnie pędzonych korków na wodzie życia a szukający „siebie“ w wyższych regionach człowieczeństwa, aby swoją wartością w rachunkach tego świata — jaką bądź, byle rzetelną — cyfrę stanowić, ludzie rozwiązujący życie nie formułkami lub klu-

czem stęchłym, ale istotną — choćby bezimienną — twórczością, wiedzieli zawsze o tych prawach.

Gdyby nie było praw moralnych, człowiek w swoim rozwoju duchowym nie potrzebowałby ciągłego dozoru nad własnym, wewnętrznym mechanizmem. Ograniczyłyby się do przestrzegania praw grubych zmysłów.

Tak Panowie! Zjawiska w świecie moralnym mają nie-
mniejszą konsekwencję od zjawisk spadania kamienia lub
przewodzenia elektryczności.

Kłamstwo mści się na człowieku, gdyż pociąga za sobą
nowe kłamstwa.

Wy sami, wahalibyście się budować na orzeczeniach
takiego człowieka, któregoby pochod przez życie zaznaczał
się kłamstwem.

Tem potwierdzilibyście tylko istniejącą w was świadomość
konsekwencji moralnych. Świadomość, że w ludziach
wewnętrznie „niechlujnych“, elementy zgnilizny powoli przed-
zierają się na zewnątrz.

Dlaczego wielu ludzie, kwiaty wśród morza ludzkości,
dążą zawsze do prawości, do czystości i nieskazitelności
charakteru, do zgody między językiem a czynem?

I Wy moglibyście, choćby na chwilę przypuścić, aby czo-
łowiek wydobywający ze siebie, na zasadzie wewnętrznej pracy,
istotne prawdy, to jest takie, które podnoszą naokoło ludzi
i niosą świeże powietrze w stęchłe krużganki życia, wy mo-
glibyście przypuścić, aby człowiek taki, nie podnosił się rów-
nocześnie na wyższe szczeble?

Powiada Mickiewicz, że „człowiek dobry, szczerzy, czu-
jący swoją niższość, już tem samem wychodzi ze swego
szczebla, ma moc podnieść się wyżej“. A wy moglibyście
wątpić, aby twórca rozpalający w sobie i dokoła ogień, nie

musiał naprzód pędzić, ogarnięty własnym szałem? Że mógłby stać na miejscu albo co straszliwsze jak rak zbrodniczo pechać wstecz i w ciemności.

Nie wiem, czy rozumiecie cały bezsens takiej tezy.

Stać na miejscu albo cofać się w tył może tylko człowiek przeżywający frazesy, które do niczego nie obowiązują. Między takim człowiekiem a życiem jest przepaść. Może on wypowiadać oratorsko najwyższe maksymy, a równocześnie może wieść życie plugawe i zbrodnicze. Frazesy jego nie budzą żywych dokoła, nie przekuwają odwiecznych prawd w nowe, żądane przez epokę formy i łożyska.

Człowieka frazesów poznać po tem, że nie dręczy się, nie szamocze ze sobą, nie szarpie i nie burzy. Zato też nie wyrывa z głębi swoich żywego, jarzącego się lontu. Człowiek frazesu jest zimny.

A ludzie żywi są jak dzieci i nie dają się brać na wędkę zimnego frazesu.

Kto znajduwane w sobie wartości chce innym podawać, musi się podporządkować prawom społeczności. Jeśli już przeciw tym prawom płynie, to tylko z otwartą przyłbicą i z całą świadomością, że spełnia wewnętrzną konieczność. Ale gwałcić tych praw żadną miarą nie śmie. Nie Erynie bowiem wtedy wstają, ale rodzi się żelazny ciężki młot, który jednym uderzeniem, całe wewnętrzne życie rozbija i druzgocze. Miast poczynających się światów rozpiera się odtąd trup w duszy.

A pokażcie mnie, takiego człowieka, któryby czując w sobie zawiązki nowych światów, zamiast dążyć do realizacji tychże światów i spalać się w apostołstwie, śmierci wewnętrznej łaknął, lub co gorsza rozkładania się powolnego?

Któryby sflumił pragnienie oglądania kłosów dojrzewających z zasianego ziarna!

Tak Panowie! Człowiek musi stać nad sobą i trudzić się około swojego „ja”. Musi nieustraszenie walczyć jak św. Jerzy, ze smokiem swoich instynktów, musi powoli klarować swój charakter i zdobywać siły, aby być naprawdę „człowiekiem”.

Przyrodnik nawet, chcący rzetelnie obserwować naturę a nie ulegać fałszywym szematom, musi wewnątrz siebie nieustająco rozwijać prawosć i rzetelność. Inaczej małe kłamstwa codziennego życia przedrą się do jego spostrzeżeń.

Tak więc nawet człowiek przestający z naturą, musi się wewnątrz rzeźbić, a cóż dopiero człowiek przestający pośród ludzi.

Bez wewnętrznego ruchu, jest śmierć i śniedź.

Zatem w warunkach do wyższego celu — prawosć i czystość charakteru, nie są cyfrą zerową.

Świat w nas — mikrokosmos średniowieczny — to świat pełen konsekwencji.

Spytajcie się też artystów, do czego wiodą bezczeństwa, popełniane pod egidą „artyście wszystko wolno”. Jeśli wam odkrzykną, że do błota, to macie przed sobą żywych ludzi. Odczuwają oni wewnętrznym instynktem logikę praw moralnych i nie dają się usypiać „literackimi” nargilami. Ci też ludzie, ze znakiem buntu przeciw brudowi i pospolitości życiowego rynsztoku, rozpalają się powoli w gwiazdy. Inni dokoła potoną lub trupio jeszcze za życia rozkładać się poczną.

O Panowie! Moralny świat jest i posiada żywe i bezpośrednie konsekwencje!

Mówiąc to, zbliżam się do jądra rzeczy.

Brzozowski w całej treści swojej twórczości należy do duchowych regionów Polski.

Wszystkie jego kojarzenia dotyczą idei. W pismach swych boryka się o sformułowanie dróg jasnych, raz wraz szarpie się i wydobywa ich klarowną treść pod światło.

W pismach jego dadzą się odnaleźć najbardziej tajne wzruszenia. Wśród myśli jego są nawet takie, które ledwie otrząsnęły się z chaotyczności, w której tkwiły jeszcze przed chwilą w nieświadomych pokładach duszy. Są inne myśli, tak czysto wykrystalizowane, że połyskują się pełnem natężeniem światła.

Brzozowski zdradza się w swych pismach na każdym kroku. Odstania całą swą, nawet najtajniejszą pracownię. Nie ma żadnych tajemnic. A czytelnik moralnie rozwinięty dostrzeże wszędzie tylko jeden cel, jedną treść, jedną ideę.

Brzozowski jest jednolity. Zajmuje go ustawicznie problem człowieka. Pęd człowieka do wyrażenia siebie. Człowieka stosunek do istotnej twórczości, zatem przedewszystkiem do życia, które jest bezpośrednią platformą twórczości

Na tej drodze Brzozowski podpatruje wszystkie kryteria i konsekwencye. Filozofia jego jest w każdym calu żywą.

W najwyższych punktach zagadnień Brzozowskiego spotyka się ciągle Polskę. Jest ona ciągle widomą i obecną, z całym labiryntem swych zagadek.

Jeden Niemiec — zatem człowiek należący do odmiennej sfery czuć i kojarzeń — zapytał się niedawno jednego Polaka.

„Panie. Brzozowski zatem, wobec tego, co pan mówi, musi w swych pismach działać upadlająco! pisma jego muszą was deprawować! Czy tak?”

Chciałbym, aby w Polsce choćby jeden człowiek wstał i powiedział temu Niemcowi: Istotnie Panie, ja przez Brzo-

zowskiego zostałem moralnie zdeprawowany. Jego pisma zarażyły mnie powoli zgnilizną“.

Nadaremnie jednak wyzywać takiego człowieka. Niema go i nie było jeszcze. I jak dwa razy dwa cztery — nie będzie.

Kto bowiem karmi się ziarnem Brzozowskiego, rośnie. Jeśli taki przyjdzie świadczyć o Brzozowskim to innemi słowy i gesty.

Gdyby zaś w Polsce więcej czytano Mickiewicza, to by zrozumiano jak potworny policzek zadał owemu Polakowi ów pytający się Niemiec.

Bo jakżeżby mógł Brzozowski, którego cała literatura jest jednym wielkim krzykiem w Polsce, za czystością i prawością życia, za szczerością, za istotną rozlewnością życia i bezpośredniością, być równocześnie demoniczną kreaturą targającą się wespół z oprawcami Warszawy na żywą Polskę ofiarną i najlepszą?

O ludzie! Jesteśmy w dobie grasowania Szerloka Holmesa. Objedzeni amerykańskim towarem, w Starej Europie jesteśmy żądni jeszcze wyższych łamańców. Wegetujemy i potrzebujemy podniety dla nerwów.

Porodzona zaś potworna koncepcja o Brzozowskim, — powtarzana więcej lub mniej bezmyślnie — dowodzi tylko jednego, ale za to jasno: tego, że ludzie w Polsce nie czytają Brzozowskiego. Że nie czytają go, bo zrozumieć nie mogą. Brzozowski bowiem, żąda podniesienia się w wyższe regiony ducha. Znaczy na takie, w których obok przygotowania umysłowego wymaga się przygotowania wewnętrznego.

Bo na łaskę rozumienia i chwytania prawdy trzeba pracować nie tylko głową.

Ludzie w Polsce!

Wmyślcie się głęboko w potworną sprzeczność, którą wygłaszacie.

Albo udowodnijcie, że Brzozowski jest podły w swych pismach, z trupim frazesem i rozkładem moralnym, że dookoła niego cisną się tylko podli i martwi, albo zamilczcie i miejcie tę powagę, która mówi, rozumiemy, że zarzut byłego członka ochrony Bakaja jest albo zbrodnią potworną, albo straszną mistyfikacją.

Zarzucony Brzozowskiemu czyn jest nonsensem, jeżeli nie udowodnicie równocześnie, że najwewnętrzniejsza praca Brzozowskiego, to jest twórczość jego, jest tylko twórczością prowokatora i szpiega.

Ognia i błota nikt razem bowiem jeszcze nie zmieszał.

W dawnej, wolnej Polsce kłamstwo o Brzozowskim, nie mogło mieć miejsca.

Jest to kłamstwo, które mogło urodzić się tylko w niewoli. Zatem w czasach cichego wegetowania i zatracania „siebie“.

Ludzie dobrej woli! Ludzie w Polsce, którym stać na zmiany wewnątrz duszy, którzy czują, że sztuczkami i frazesami Polski się nie osiągnie!

Ludzie niespokojący się i szukający prawdy!

Weźcie do ręki małą książeczkę Brzozowskiego o współczesnej powieści w Polsce. Przy dobrej woli zrozumiecie jasno i dowodnie jej treść.

Weźcie ją do ręki. Możecie się na nią nie zgodzić. Możecie ją potem wyzwać na duchowy pojedynek i mierzyć się z nią przeciwstawieniem innych — jeszcze głębszych, jeśli was na to stać — kryterów.

Ale gdy ją weźmiecie do ręki, będziecie musieli przyznać, że w niej nic podłego nie ma. Przeciwnie. Zdumiejecie się; spotkacie w niej bowiem człowieka, który chce, aby Polska twórczość powieściopisarska, szczyt duchowy, była jak dzwon

oznajmiający, co się dzieje w morzu zwanym: Polską. Poznacie Brzozowskiego, który z harapem wtargnął do świątyni, gdzie przekupnie małych towarów rozłożyły stragany. Poznacie Brzozowskiego, który targa się, modli się, tęskni, krzyczy... i chce, aby polska powieść przestała być stekiem kłamstw. Który chce, by miała widzenia Skargi. Poczucie obowiązku Żółkiewskiego. Aby tak kochała i spalała się jak Mickiewicz.

Poznacie Brzozowskiego. Zobaczycie, jak schyla głowę przed Prusem i Orzeszkową, za to, że ci pisarze, śmieli dostrzegać i kochać bezimienne, wartościowe życie.

Zobaczycie, jak mówi o Żeromskim i jeśli się nie rozgrzejecie jego słowami, to jesteście martwi lub obojętni dla Polski.

Znajdziecie kilka zdań opodal, któremi dziś można każdego Polaka mierzyć w pierś i wywieść z błota.

Gdybyście jedno z tych zdań przeczystych, z bólu wylęgłych i umęczenia — wskrzesiwszy starą Polskę, wykrzyknęli na głos i gdybyście równocześnie wykrzyknęli, że ten człowiek jest zbrodniarzem, toby błyskawicą tysiące karabel się podniosło, z tym jednym okrzykiem: *Ł z e s z !*

W Polsce bowiem dawniej była bezpośredniość czystego uczucia, a na pewne kłamstwa nie było miejsca.

Dziś w niewoli, wyrządziliście jednemu z waszych najlepszych pisarzy potworną krzywdę. Wyrządziliście ją przede wszystkim sobie.

I to będziecie musieli jasno jednego dnia zrozumieć. To jest tego dnia, kiedy zaczniecie Brzozowskiego czytać. Kiedy weźmiecie jego pisma i znajdziecie w nich zdrowie.

I nie urażeni jego ogniem polemicznym, zgrzytami, które ma każdy człowiek w chwili walki, zaczniecie dostrzegać, w czym *m i s y a* była tego człowieka.

Panowie! Brzozowski pragnąc, aby w Polsce było mniej „literatury“ i przyglądania się sobie à la młoda Polska, a więcej bezpośredniego, szczerego życia, potęgował pragnienia żywych.

Jego działalność w Zakopanem, i działalność we Lwowie, jego prelekcye, budziły uśpionych. Dzięki niemu nauczyli się ludzie z zapartym tchem płynąć w górę prądu i nie dawać się zganiać falami na płytkie mielizny. A teraz zrozumieście, że Brzozowski, którego poznałem w lutym r. 1905, czyli zaraz po przyjeździe z Warszawy do Zakopanego, był takim jak jest w książce, o której wam wspomniałem. Wtedy już z biczem wchodził w „literaturę“ i chłostał. Niepokoił wszystkich. Zmuszał wszystkich do tem większej pracy nad sobą. I niemiłosiernie wszelkie frazesy deptał. Też znienawidzonym się stawał powoli przez to wszystko, co jest dziś trupem w Polsce.

Ludzie, przeczytajcie słowa Brzozowskiego o Prusie. Obudzi się w was miłość gorąca dla tego starca. Przeczytajcie, czem Orzeszkowa jest dla Brzozowskiego. Weźcie do serca uwagę, że oto po raz drugi głos ostrzeżenia płynie z Litwy do Polski.

I wtedy uderzcie się w piersi — jeśli nagle odczujecie cały nonsens oskarżenia Bakaja — i przyznajcie, że łaska jest nad wami, bowiem zrozumiecie, że w pewnych rzeczach błądzić nie wolno.

Przeczytajcie wszystkie pisma Brzozowskiego. A nade wszystko Płomienie, z których bucha i żarzy się przeczysty ogień, tak, że ludzie nawet obojętni dziwią się, że tyle może być czystości.

Starajcie się tylko być żywi i mieć własny sąd.

Taki sąd wydobędziecie ze siebie, z regionów najprawszych

i najczystszych swojego „ja“, a nie z regionów partyjnych, które są regionami szematu.

Tak Panowie, moralne prawa są i konsekwencje.

A my dożyjemy może jeszcze roli świadków niebywale potwornej mistyfikacji lub zbrodni, w którą obleczone Brzozowskiego. Poczekajmy. Czas wyjaśnia zagadki. Wyjaśnienie zaś może nawet błyskawicznie przyjść.

Ale ja protestuję dziś całym sobą, na całą Polskę, przeciw morzu podejrzeń i oskarżeń, które nie pisma Brzozowskiego, gdyż wobec tych pism jest bezsilne, ale człowieka Brzozowskiego chce zalać i utopić.

Te słowa chciałem wam powiedzieć przed sądem i tych słów nie dozwoliliście mnie powiedzieć.

Mieczysław Limanowski.

Lwów, 1 kwietnia 1909.



343478

1. ...
2. ...
3. ...
4. ...
5. ...
6. ...
7. ...
8. ...
9. ...
10. ...
11. ...
12. ...
13. ...
14. ...
15. ...
16. ...
17. ...
18. ...
19. ...
20. ...
21. ...
22. ...
23. ...
24. ...
25. ...
26. ...
27. ...
28. ...
29. ...
30. ...
31. ...
32. ...
33. ...
34. ...
35. ...
36. ...
37. ...
38. ...
39. ...
40. ...
41. ...
42. ...
43. ...
44. ...
45. ...
46. ...
47. ...
48. ...
49. ...
50. ...
51. ...
52. ...
53. ...
54. ...
55. ...
56. ...
57. ...
58. ...
59. ...
60. ...
61. ...
62. ...
63. ...
64. ...
65. ...
66. ...
67. ...
68. ...
69. ...
70. ...
71. ...
72. ...
73. ...
74. ...
75. ...
76. ...
77. ...
78. ...
79. ...
80. ...
81. ...
82. ...
83. ...
84. ...
85. ...
86. ...
87. ...
88. ...
89. ...
90. ...
91. ...
92. ...
93. ...
94. ...
95. ...
96. ...
97. ...
98. ...
99. ...
100. ...

